

2.

Dom po kilkudniowej nieobecności był mocno wyziębiony, więc od razu rozpałiłem w kominku solidny ogień. Nie miałem wprawdzie apetytu, jednak zmusiłem się do ugotowania jakiegoś ciepłego posiłku, aby nie przyjmować tabletek na pusty żołądek. Po jedzeniu postanowiłem przynieść z domku gospodarczego spory zapas drewna. Chodząc kilka

razy tam i z powrotem, wydeptałem w śniegu ścieżkę. Wiedziałem, że za chwilę przestanie być ona widoczna, podobnie jak ślady pozostawione przeze mnie i policjantów ledwie godzinę wcześniej. Biały puch pracowicie przykrywał okolicę. Cieszyłem się, że w ciągu najbliższych dni nie będę musiał opuszczać Wyrębów – gdyby taka aura miała utrzymać się dłużej, mógłbym mieć problemy z dojechaniem na uczelnię. Zwolnienie lekarskie kończyło mi się dopiero w niedzielę, co dawało nadzieję, że do tego czasu pogoda będzie bardziej łaskawa.

Wyszedłem jeszcze na zewnątrz, żeby otworzyć okiennice i obejrzeć zniszczenia wyrządzone przez burzę. Kilka połamanych w sadzie drzew nie stanowiło problemu; i tak większość z nich miała być wkrótce wycięta. Świeżo wyremontowany dach był w nienaruszonym stanie, podobnie jak dach na budynku gospodarczym.

Uspokojony, wróciłem do ciepłego już domu. Włączyłem odtwarzacz, wziąłem książkę i położyłem się na łóżku pod grubym kocem. Początkowo miałem problemy z zagłębieniem się w lekturze; myśli uparcie krążyły wokół Antoniego. Chociaż przeczucie podpowiadało mi coś innego, nie mogłem przecież wykluczyć, że wszystko jest z nim w porządku. Może akurat wyjechał, tak jak w lecie.

Wreszcie lektura zaczęła na dobre przykuwać moją uwagę. Wędrowałem przez oddalony o lata świetlne od Wyrębów świat, stworzony przez Marqueza. Spokój panujący na zewnątrz i usypiające dźwięki polan płonących w kominku sprawiły, że oczy zaczęły mi się kleić. Wreszcie położyłem książkę obok łóżka i postanowiłem trochę odpocząć z zamkniętymi oczyma.

* * *

Nie wiem jak długo spałem; w każdym razie wystarczająco długo, aby ogień w kominku zdążył się wypalić. W pomieszczeniu panował chłód. Podniosłem się niechętnie, dołożyłem kilka drobniejszych trzasek i rozdmuchałem ogień.

Zbliżał się wieczór. Wyjrzałem przez okno i ujrzałem na samochodzie kilkunastocentymetrową czapę świeżego śniegu.

Cisza otulająca okolicę aż dźwięczała w uszach. Realizowało się właśnie jedno z moich największych marzeń. Mieszkając przez wiele lat

w mieście chciałem, aby kiedyś nastąpił taki dzień, kiedy będę trwał gdzieś na końcu świata, a za oknami drewnianego domu stanowiącego oazę bezpieczeństwa śnieg będzie tańczył w podmuchach wiatru, zasypując drogi i przyprawiając wszystkich zamierzających jechać gdziekolwiek o niepokój związany z tym, czy uda im się dotrzeć do wyznaczonego celu.

Traf chciał, że miało to miejsce w Dzień Zaduszny, w dzień, kiedy to – według ludowych wierzeń – dusze zmarłych mają niepowtarzalną możliwość skontaktowania się z żywymi. Raczej w to nie wierzyłem, ale patrząc przez okno w gęstniejący za oknem mrok, zastanawiałem się, skąd brało się to powszechne przekonanie.

Siedziałem w niemal całkowitych ciemnościach i akurat miałem zapalić światło, gdy do moich uszu dotarł przenikliwy, świdrujący dźwięk, który wszystkie moje zakończenia nerwowe postawił w stan najwyższego alarmu. Serce wykonało gwałtowne salto, sprawiając, że krew z szaleńczą prędkością zaczęła pulsować w skroniach.

Minęło już trochę czasu, od kiedy w pobliżu domu po raz ostatni słyszałem nawoływanie puszczyka. Zawsze do tej pory, w tym miejscu, dźwięk dochodzący właśnie do moich uszu, przynosił wydarzenia, których nie potrafiłem wytłumaczyć, a które przyprawiały mnie o niekontrolowany strach. Tego wieczoru, w połączeniu z wcześniejszymi rozważaniami o umarłych, pohukiwanie brzmiało jak złowrogi zwiastun. Błogie rozważania nad szczęściem, które przynosiło oddalenie od cywilizacji, przerodziło się we wrażenie uwięzienia przez naturę. Padający ciągle śnieg nie pozwalał nawet na nieśmiałą myśl o ucieczce z Wyrebów. Zresztą, nie mogłem przecież zawsze uciekać. Skoro zdecydowałem się na zamieszkanie w tym miejscu, musiałem stawić czoło swoim lękom i wspomnieniom.

Podgłośliłem więc muzykę, starając się zignorować własne myśli. Kusiła butelka „luksusowej” schowana w lodówce. Do tej pory alkohol skutecznie przytępił strach, lecz wiedziałem, że łączenie go z przyjmowanymi lekami może nie najlepiej wpłynąć na moje zdrowie. W końcu jednak nie wytrzymałem i przyrządziłem sobie dość obficie zakrapianego drinka. Po kilku solidnych łykach poczułem się bezpieczniejszy. Zdawałem sobie sprawę z faktu, że to absurdalne, lecz alkohol

najskuteczniej przytępiał zmysły i obawy. Nawet przed konsekwencjami mieszania wysokowych trunków z zażywaniem przez mnie medykamentami.

W końcu doszło do tego, że nawet pigułki popilem mieszanką wódki z colą. Późnym wieczorem puszczyk za oknem wciąż wrzeszczał, a mnie było już wszystko jedno. Dołożyłem do ognia kilka grubych, brzoźowych polan i poszedłem spać

3.

Obudziło mnie uczucie duszności. Leżałem na plecach, nie mogąc złapać tchu, czując na piersiach chłodny, niezwykle silny ucisk. Pierwszą myślą, która przysłała mi do głowy, było przekonanie, że to zawał. Z trudem otworzyłem oczy.

Zobaczyłem ją w świetle rzucanym przez dopalające się w kominku drwa. Stała nade mną z pełnym satysfakcji uśmiechem, z prawą dłonią położoną na mojej piersi. Jej oczy, przerażająco obojętne, patrzyły gdzieś ponad zagłówkiem łóżka. Próbowalem się wyrwać z zabójczego uścisku, lecz starania zdawały się na nic. Szamotałem się, wściekle wierzgając nogami, usiłując uchwycić jej rękę, lecz moje słabnące ramiona trafiały w próżnię. Trwało to może minutę. W końcu dałem za wygraną; miałem do czynienia z nadludzką siłą, która w połączeniu z postępującym niedotlenieniem organizmu czyniła mnie całkowicie bezradnym. Płuca domagały się choć odrobiny powietrza, ale wyraz białej twarzy, połyskującej w umierających odbłaskach płomieni, nie pozostawiał mi nawet odrobiny złudzeń.

Zaczynałem już tracić świadomość, gdy w przeciwległym kącie pokoju błysnęło słabe światelko. Chwilę później tamtą część pomieszczenia rozświetlił słaby blask.

– Odejdź! Daj mu spokój. Przecież nic ci nie zrobił... – usłyszałem gardłowy szept.

Pochylona nade mną postać syknęła wściekle, a jej obojętną twarz wykrzywił pełen złości grymas. Gwałtownie odwróciła głowę spoglądając na ciemną sylwetkę, zarysowaną na tle nikłego światła.

– Jeszcze ci mało? Dlaczego to robisz? Dostałaś przecież to, na co czekałaś od tylu lat.

Kobieta z fotografii gwałtownie cofnęła rękę. Na piersi poczułem lekki ból, coś, jakby delikatne uklucie szpilki.

– Ty skurwysynu! Jak śmiesz... – jej słowa były bardziej wyczuwalne, niż słyszalne.

Gwałtownie łapałem oddech, pozwalając krwi krążyć w żyłach.

– Powiedziałem... Zostaw go w spokoju – słaby, lecz stanowczy szept znów dobiegł do mnie z drugiego krańca pomieszczenia. Do tej chwili widziałem jedynie zarys sylwetki. W tym momencie postać odwróciła się w moją stronę. Antoni trzymał w dłoniach świecę rozświetlającą mu twarz.

Z gardła kobiety wydobył się rozpaczliwy skowyt. Przeniknęła przez moje ciało i zniknęła za ścianą, jakby płomień świecy stanowił dla niej śmiertelne zagrożenie.

Jaszczuk podszedł do łóżka, postawił świecę na szafce, na której stała nocna lampka i przysiadł obok mnie.

Znów wyglądał dokładnie tak, jak zapamiętałem go z pierwszego spotkania. Na twarzy nie było nawet śladu ran, które widziałem ostatnio.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak, Antoni... Chyba tak... Co to... Co to wszystko ma znaczyć? – pytałem, wciąż łapczywie łapiąc oddech.

– Już dobrze – powiedział. – Już wszystko dobrze.

Siedział na łóżku łagodnie się uśmiechając.

– Marek – powiedział w końcu – nie powinieneś tu zostawać. Ona ci nigdy nie wybaczy, że dzięki tobie znów – choć przez kilka chwil – byłem szczęśliwy...

– Antoni... Bogu dzięki... Myślałem, że nie żyjesz.

– Nie powinieneś tu zostawać – odpowiedział, nie reagując na moje słowa. – Obiecay mi, że wyjedziesz i nigdy nie wrócisz.

Przez chwilę milczałem. Zebranie myśli przychodziło mi z wielkim trudem; niedotleniony mózg wciąż nie pracował na normalnych obrotach.

– Chcę tu zostać – wydusiłem wreszcie. – Nie wyjadę. Marzyłem o takim miejscu...

– Wiedziałem, że tak odpowiesz – przerwał. – Posłuchaj więc uważnie. W moim kredensie jest zapas świec. Dopóki będziesz je palił nocą, będziesz bezpieczny. Jak się skończą, kup nowe i zanurz w wodzie święconej. Pamiętaj... W nocy, kiedy śpisz, zawsze przynajmniej jedna musi się palić. W dzień i nocą, gdy nie śpisz, będziesz bezpieczny nosząc to...

Antoni pokazał mi, trzymany w zaciśniętej to tej pory dłoni, medalik; ten sam, który zawsze widziałem na jego szyi.

– Podnieś głowę – usłyszałem.

Zrobiłem to z wielkim trudem. Jaszczuk zawiesił łańcuszek na mojej szyi.

– Sen jest bratem śmierci, więc gdy będziesz spał, sam medalik nie wystarczy. Obok ciebie zawsze musi palić się świeca, która cię ochroni. I pamiętaj. Jeśli kiedykolwiek zapomnisz o tym, co ci powiedziałem, będziesz w śmiertelnym niebezpieczeństwie, a ja nie będę ci mógł już pomóc.

– Możesz mi to wszystko wytłumaczyć? – spytałem.

– To już nieważne. Do zobaczenia, Marku. I dziękuję ci za... Dziękuję za wszystko.

Wstał i ruszył w kierunku drzwi.

– Antoni! – wyszeptałem.

Chciałem go zatrzymać, lecz nie miałem siły, aby podnieść się z łóżka. Otworzył drzwi do kuchni, wyszedł i zostałem sam.

Obok, na stoliku, paliła się świeca. Sięgnąłem do piersi i wyczułem pod dłonią chłodny kształt medalika. Leżałem tak przez kilka minut, aż wreszcie straciłem świadomość.

4.

Następnego ranka wciąż jeszcze czułem ucisk w piersiach. Od przebudzenia towarzyszył mi także trudny do zniesienia ból głowy. Oprócz lekarstw na grypę zażyłem więc dwie silne tabletki przeciwbólowe, które po niedługim czasie przyniosły spodziewany efekt.

Miniona noc okazała się być przełomową. Dotychczas w różny sposób tłumaczyłem sobie dziejące się w Wyrębach zjawiska, a teraz wreszcie miałem pewność. Sińce na klatce piersiowej, złoty medalik zawieszony na szyi i świeca, która rano wciąż się paliła, nie pozostawiały mi wątpliwości co do faktu, że to wszystko nie było snem czy przywidzeniem. Wszystkie dotychczasowe teorie na temat przyczyn pojawiania się wokół domu postaci kobiety wzięły w łeb. Po prostu miałem do czynienia ze zjawą pochodzącą z innego świata.

Paradoksalnie – fakt, że postać stanowiła dla mnie zagrożenie, nie wzbudzał we mnie przesadnego niepokoju. Wiedziałem przecież, jak zapewnić sobie w Wyrębach względne bezpieczeństwo. Wystarczyło zastosować się do wskazówek Antoniego, który – jak przypuszczałem – w towarzystwie kobiety w bieli spędził wiele lat.

Jeszcze jedno mnie uspokajało. Otóż, ostatnia noc przekonała mnie, że cokolwiek stało się z moim sąsiadem, był on teraz bezpieczny. Podejrzewałem, że przybył do mnie w Noc Zaduszną z jakiegoś innego wymiaru. Brak jakichkolwiek śladów na jego twarzy świadczył o tym najbardziej dobitnie. Przecież to niemożliwe, aby jego głębokie rany zagoiły się w tak krótkim czasie. Wszystko to dawało pewność, że istnieje coś jeszcze poza ziemskim życiem. Zawsze wierzyłem w życie pozagrobowe. Pewność jego istnienia, której doświadczyłem ostatniej nocy, wprawiła mnie w dobry nastrój.

Około dziesiątej wziąłem klucz od kłódki wiszącej na drzwiach domu Antoniego i wyszedłem na dwór. Wyglądało na to, że śnieg przestał padać jeszcze wieczorem, ponieważ czapa śniegu na samochodzie nie powiększyła się w znaczący sposób od momentu, gdy widziałem ją ostatnim razem.

Gdy spojrzałem pod nogi, ze zdumieniem dostrzegłem ślady butów wyraźnie odcisnięte na nieskazitelnie białej powierzchni. Jedne z nich – biegnące od mieszkania Antoniego – prowadziły w stronę moich drzwi, drugie zaś, najwyraźniej pozostawione przez tę samą osobę, wiodły w przeciwnym kierunku. Najpierw ruszyłem tropem tych drugich.

Przeszedłem kilkanaście metrów po podwórzu, po czym skręciłem w stronę drogi. Po wyjściu na gościniec, wiedziony śladami na śniegu, podążałem w kierunku poniemieckiego cmentarza. Po kilkudziesięciu

metrach odciski kroków były coraz mniej widoczne. Wreszcie stanąłem zdezorientowany – trop, którym się poruszałem po prostu zniknął.

Szedłem jeszcze kawałek, mając nadzieję, że uda mi się znaleźć kolejne ślady. Chociaż wypatrywałem ich bardzo uważnie, moje poszukiwania nie przyniosły żadnego efektu. Wróciłem więc do domu i podążyłem śladem kroków, które wiodły od strony gospodarstwa Jaszczuka. Poruszałem się teraz w kierunku przeciwnym niż osoba, której kroki widniały na śniegu. Zanim dotarłem do drogi, ślady, które były coraz słabiej widoczne, również zniknęły.

Wszystko stało się jasne. Antoni pojawił się w Wyrębach tylko po to, aby mi pomóc. Poszedł do domu, wziął świecę i medalik leżący na stole, a następnie udał się do mnie. Później znów odszedł w stronę swojego świata. Jeśli miałbym to wszystko komuś opowiedzieć, brzmiałoby to kompletnie idiotycznie. Dla mnie jednak były to fakty całkowicie naturalne; tak samo jak to, że właśnie jest dzień, po którym niechybnie nastąpi wieczór, a potem noc.

Otworzyłem kłódkę i wszedłem do domu Antoniego. W kredensie znalazłem zapas świec, który z pewnością wystarczyłby na kilka miesięcy. W przeważającej większości były to spore świece, takie jak te, które do tej pory widywałem u Jaszczuka. Było też kilka wielkich gromnic, które powinny wystarczyć nawet na kilka dni. Zabrałem z sobą około dwudziestu mniejszych i dwie duże. Z takim zapasem pod pachą opuściłem kuchnię i wszedłem do pokoju. Fotografia stała na swoim miejscu. Grymas nienawiści nie zniknął z twarzy kobiety.

– I co, Basiu? – powiedziałem. – Teraz, to możesz mnie pocałować w dupę.

Drgnąłem, kiedy szybka chroniąca fotografię pękła z głośnym trzaskiem. Trzy świece wysunęły mi się spod pachy i z rumorem upadły na kolorowy chodnik. Pozbierałem je i powiedziałem w stronę zdjęcia:

– Zabrałaś mi dobrego sąsiada, ty stara kurwo!

Tym razem nic się nie wydarzyło. Odwróciłem się więc i wyszedłem z pokoju.

Założyłem kłódkę na drzwi wejściowe i wróciłem do domu.